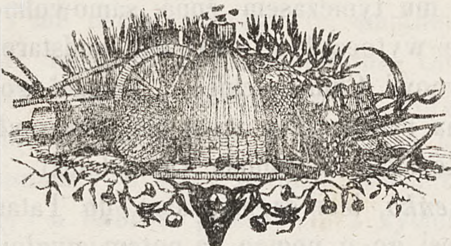
Tom V. Nr. 15.

21. Listopada. 1861.





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

JAN KAZIMIERZ, KRÓL POLSKI.

I. *Bunty kozackie.*

Mijały już ostatnie chwile szczęścia i spokoju, choć i ten spokój nie wróżył nic innego jeno wielkie burze. Jakoż co za rządów króla Władysława szło jeszcze krytym ściegiem, to przy końcu jego życia wybuchnęło na wierzch, gwałtownie jak pożar. Najpierwsza krwawa i smutna przeprawa była z Kozakami.

Już za króla Zygmunta III. nie było w Polsce wiele porządku, a choć król Władysław tęgim był panem, to i cóż z tego, kiedy go zaprędko pan Bóg zabrał z tej ziemi, więc i on nie mógł nic do ładu doprowadzić, bo się już ludzie zwydrzyli, a kręcąc prawem ku swojej stronie, robili sobie wedle własnej woli. Nic też dziwnego, że i na Ukrainie między Kozactwem był podonczas wielki ucisk i niedola, bo co tylko możniejszy pan czy szlachcic jarzmił Kozaków i ciemiężył, a to bractwo do wolnego życia wezwyczajone, bardzo sobie nie smakowało w tej pańskiej niewoli. Ba, żeby to jeno ucisk i niewola! ale miejscami to i krzywdy wielkie się działy. A oto wy-

darzyło się wreszcie, że pewien podstarości krętym sposobem odebrał kozakowi *Chmielnickiemu* wioskę, od króla mu nadaną, a gdy Chmielnicki jeździł się uskarzać na ten gwałt, to podstarości porwał mu tymczasem żonę samowolnie, a gdy o to swary się zacięte wytoczyły, to krewny podstarościego wziął w dodatku konia synowi Chmielnickiego, i kazał go jeszcze kijami obić publicznie na rynku. Ten wypadek obruszył już do reszty niespokojnych Kozaków. Bohdan Chmielnicki, a jak go tam zwali *Chmielniczeńko*, leci czemprędzej do Tatarskiego księcia, czyli *chana*, prosi go o pomoc, a potem zwołuje Kozactwo, i hejże na koń, na Lachów!

Więc nastąpiła straszna i piekielna chwila. Do Chmielniczeńka garną się ze wszystkich stron Kozacy, uzbrojeni w piki, strzelby i noże, i leją w siebie gorzałkę na zapicie sumienia, boć to przecie bunt na Matkę Polskę, co ich nieraz w złej doli ratowała; a tu we Warszawie smutek i nieład, bo król umiera w Mereczu, a panowie myślą o zwołaniu sejmu, aby obrać następcę po królu.

Krwawa historja rozpoczęła się na Rusi. Chmielniczeńko czy własną krzywdą, czy jakimś złym duchem opętany, wydaje rozkaz aby rżnąć panów, żydów i księży, i z całą zgrają Kozactwa posuwa się naprzód ku Lwowu. Winna i niewinna krew zaczęła się lać strumieniami, płonęły sioła i miasta, i w ręce Kozaków wpadał wszelaki dobytek ludzki. Dowiedziawszy się o tem hetman Potocki, stojący z wojskiem na Ukrainie, wysłał przeciwko Chmielnickiemu syna swego Stefana z niewielkim oddziałem żołnierzy. Chmielniczeńko stał właśnie ze swoimi nad bagnami, zwanemi *Żółte wody*, i nie chciał zrazu wyleźć z poza swych okopów; aleć gdy wielka chmara Tatarów nadciągła mu w pomoc, zwarł się z królewskiem wojskiem, i dopiero przyszło do zaciętej bójki. Przez kilka dni ścierali się nasi z Kozactwem, aleć gdy Tatarów jeszcze większa ilość nadciągnęła, a wszyscy Kozacy ze strony królewskiej Stefana Potockiego zdradzili i do Chmielniczeńka przeszli: musiało wojsko hetmańskie ulegnąć. Wielka tam ilość królewskich padła trupem, i młody syn hetmański został zabity, co zaś nie zginęło to poszło w niewolę,

tak, że tylko jeden żołnierz się uratował, który wrócił ze smutną powieścią do starego hetmana.

— O biednyż ja wódz i ojciec! — zawołał z boleścią stary hetman, i nie chciał wierzyć tej smutnej przeprawie pod Żółtemi wodami, lecz niebawem stanął mu Chmielnicki ze swą zgrają oko w oko, bo podochocony jedną wygraną, sunął się naprzód jak kula. Przyszło i tu do bitwy, a było to pod miasteczkiem *Korsuniem*, a stary hetman również jak i syn jego musiał przegrać, a dobrze jeszcze iż z życiem dostał się do niewoli, bo zgraja Kozactwa była o wiele przeważniejsza, a srodze rozjuszona.

Wiadomość o tych dwóch przegranych bitwach doszła wnet do senatorów i zgromadzonej na sejmie szlachty w Warszawie, więc uradzono czemprędzej, żeby zebrać co się da wojska i szlachty, i ruszyć na zbuntowanych Kozaków. A gdy się zebrało wojsko, postanowił nad niem sejm trzech nietęgich dowódzców, i wysłał to na wojnę. Ale i tą razą smutny był koniec wyprawy, ba, nawet smutniejszy niż pierwej, bo poprzód królewscy choć nie zwyciężyli to się dali zabić albo wziąść do niewoli, ale tą razą, gdy przyszło pod *Piławcami* do spotkania, a królewscy raz i drugi z Kozactwem się starli, tak wnet nie dotrzymali placu, a większa część razem z hetmanami umknęła z pola sromotnie, odbiegając w obozie niezmierne bogactwa i kosztowności, jako łup Kozakom i Tatarom.

Tak więc naszych ścigało już nietylko nieszczęście ale i sromota, a Chmielniczeńko coraz śmielszy i mocniejszy ciągnął wciąż naprzód, a stanąwszy niebawem pod Lwowem, takie do lwowskich mieszczanów posyła pisanie:

— Ja Rusin i wyście Rusini; łączcież się więc ze mną przeciwko Lachom co nas ciemiężą, bo inaczej padniecie wszyscy śmiercią.

Potruchleli mieszczanie na takie słowa, spojrzeli między siebie: miejskich żołnierzy jeno garstka, ludu zdolnego do obrony także nie wiele, zamek na górze słaby, a tu Kozactwa i Tatarów więcej jak dwa razy po sto tysięcy. Strach i źle, ale przecież mieszczanie mieli wiarę w Bogu że im zginąć nie da, a nie chcieli za nic w świecie łączyć się z Kozakami na rozboje

i mordy przeciwko tej wspólnej matce Polsce, co ich zawsze brała w opiekę i obronę. Więc naradziwszy się między sobą, taką szlą odpowiedź:

— Miłaby nam była wasza życzliwość, ale łączyć się z wami nie będziemy, bo my wierni królowi, czekamy na jego wybór w Warszawie.

Więc na to podstąpili Kozacy pod miasto, a gdy mieszczanie spaliwszy przedmieścia gotują się do obrony, posyła do nich znów Chmielniczeńko trębacza, z takiem gadaniem:

— Jeżeli wy mi dacie dwa kroć sto tysięcy dukatów dla chana tatarskiego, i przyślecie mi wszystkich żydów jako wrogów, to ja wam dam święty spokój.

A mieszczanie powiedzieli tak:

— My żydów nie wyślemy, bo oni tu tak dobrzy jak i my, a pieniędzy gotowiśmy ci dać boś bardzo mocny, jeno trochę mniej bo tyle nie ma.

Więc po długich targach i swarach stanęło na tem, że się mieszczanie pieniędzmi i towarem okupili, a Chmielnicki ze swoimi zostawił ich w pokoju, i pociągnał dalej ku Warszawie.

Tak przyszły gromady kozackie i tatarskie aż pod *Zamość*, lecz warowny ten gród opierał się im długo, a tu między Kozakami jakby kara Boża wybuchła zaraza. Osłabiał więc trochę Chmielniczeńko i sam nie wiedział co robić, czy dalej iść czy Zamościa dobywać, aż tu nagle przyjeżdżają z wiadomością z Warszawy, że królem brat Władysława, ***Jan Kazimierz*** obrany.

Chmielniczeńko zlakł się tego czy co, dość że wziął od mieszczan Zamojskich niewielki okup i pociągnał napowrót na Ukrainę. Zdawało się więc, że już sprawa skończona z Kozakami, że już buntów nie będzie. Więc też nowy król umawia się przez posłów z Chmielnickim, lecz na nic poszły umowy‘ bo onemu Kozakowi bez mała złotych gór się zachciewało. Więc król pomyślał sobie:

— Poczekaj, dostaniesz cięgi zamiast dobrego słowa! — i nuż zbierać wojsko na Kozaków.

Dowiedział się wnet Chmielniczeńko, że znowu ma iść na udry, więc zbiera swych Kozaków i Tatarów czemprędzej,

i przyciągnąwszy wnet pod miasto *Zbaraż*, zaczął go dobywać. Była tam królewskich niewielka garstka, ale się tęgo trzymali przez całe dwa miesiące; tymczasem nadciągnął król z liczniejszem wojskiem i stanął naprzeciw nieprzyjaciół. Kozaków i Tatarów czereda była wielka, więc trudno ich było pobić; ale król mądrem postępowaniem odmówił Tatarów od Chmielnickiego i na swoją przeciągnął ich stronę, tak że dumny Chmielniczeńko musiał się ukorzyć i prosić o pokój. Przyszedł on wtedy do namiotu królewskiego, upadł do nóg Janowi Kazimierzowi i prosił o łaskę.

Lecz widać nie dość jeszcze było gniewu bożego i na tych co gnębili, i na tych co rozbójnickim sposobem jęli palić i zabijać, bo oto i tą razą skończyło się tylko na gadaniu i obiecankach. Rozruchy nie ustawały już drugi rok, a król się wnet przekonał, że go Chmielnicki tylko w oczy tumani, a poza oczy z innymi jeszcze nieprzyjaciołmi na Polskę się zmawia. Więc rok jeszcze minął na wyczekiwaniu i obradach, a potem ruszyli się ludzie ze wszystkich stron, i wyszedł król w sto tysięcy, żeby już zniszczyć het całą kozacką siłę. Kozaków i Tatarów było trzy razy tyle, a żałośnie krakały im kruki. Wnet przyszło do walnej bitwy pod *Beresteczkiem*, a miały co krakać kruki, bo bitwa była ogromna, a przez dziesięć dni toczyła się z zaciętością, i dopiero dnia jedenastego ustąpili Kozacy i Tatarzy, a przy królu zostało zwycięztwo. Chmielnicki począł uchodzić, wojsko królewskie goniło za nim, ale cóż, kiedy w tem ani ładu ani posłuszeństwa za grosz: dużo po drodze się odczepiło i do domów pojechało, i tak nieprzyjaciela w jednem miejscu odparłszy, nic mu dalej nie zrobili.

Aż oto miała nastąpić najokropniejsza rozprawa! Król pozostawiwszy pod hetmanami część wojska, sam odjechał do Warszawy. Więc hetmani uganiali się Kozactwem i bili ich miejscami, a tak ściągło się znowu do przyszłego roku. Aleć Chmielnicki gotował świeżą zemstę. Z początkiem czerwca 1652 roku napada wielką siłą na obóz królewskich pod *Batowem*, i rozpoczyna okropnie krwawą walkę. Broniło się wojsko królewskie jak mogło, aż wreszcie musiało dać garło. Padli pozabijani: hetman i co znaczniejsi dowódzcy, i legło dwanaście

tysięcy a prawie samej młodzieży tęgiej. Oh, ileż to krwi, ileż to mordów, a wszystko między dziećmi jednej ziemi! Lecz znać gniew boski przejednał się już tą ostatnią, okropną rzezią, bo odtąd bunty kozackie coraz bardziej zaczęły przycichać, lecz zato inne nieszczęścia jęły się gradem sypać na tę naszą nieszczęśliwą i utrapioną Ziemię.

A Chmielnickiemu widać sumienie musiało srogo wyrzucać te mordy i pożogi braterskie, bo zaczął się bardzo zapijać, i tracił het na swojej miłości i poszanowaniu u braci Kozaków. A widać i oblicze Boże było od niego odwrócone, bo gdy w kilka lat umarł, a ciało jego przed grzebaniem było złożone w cerkwi, którą sam fundował i księża nad nim żałobliwie śpiewali, to zajął się katafalk i trumna od jarzących świec, i cała cerkiew wraz z jego ciałem się spaliła, a ledwo że ludzie pouciekali!

Boże sprawiedliwy, nie dopuść że już nigdy, ażeby Ziemia nasza broczyła w takiej ciężkiej krwi bratniej!

Na dzień świąteczny.

Pod szopę wtoczcie wozy i pługi;
A niechaj także i wasze sługi
Sierpy i kosy na bok odłożą,
I dzień ten spędzą na chwałę Bożą.

Puśćcie na paszę konie i woły,
Niechaj po pracy odpoczną trochę:
A za to raźniej i bez mozoły
Pociągną jutro pług albo sochę.

Niechże i one stworzenia Boże
Przy pełnym żłobie owsa i siana,
Chylając głowę w niemej pokorze,
Rżeniem i rykiem pochwalą Pana.

A kiedy dzwonek zabrzmi w kościele,
Zabierzcie na mszę czeladź i dziatki,
Niech dziewki ołtarz ubierą w ziele,
I w piękne leśne i polne kwiatki.

Módlcie się wszyscy w miłości bratniej:
Wójt zarobnikiem niechaj nie gardzi,
Boć to u Boga będą ostatni,
Ci, którzy tutaj bywali hardzi.

A po serdecznem szczerem modleniu
Do domu prosto wszyscy wracajcie,
Pod rosłem drzewem usiądźcie w cieniu,
I tam niewinnie się zabawiajcie.

Niech który chłopiec co bywał w szkole
Przeczyta z mądrej książki co nieco;
Wtedy poznacie jak w takim kole,
Godziny prędko i słodko lecą.

Zaś gdy to w zimie, wieczór do chaty,
Niech na kominie gore łuczywo;
A co się działo dawnemi laty
Rozpowie stary dziadunio żywo.

A gdy wam dzionek przeminie chwilką,
I moja rada wyda się zdrową:
Nie chcę nagrody, każdy niech tylko
Rzeknie: — „Bóg zapłać za dobre słowo!“ —

Jacenty z Magierowa.

Dwie siostrzyczki.

Był jeden biedny chłopek, co miał chałupinę na obcym gruncie, a ta tak była ogrodzona płotami sąsiada bogatego, że ledwo mógł ją obejść, i trudno mu też było utrzymać krowinę jaką, bo sąsiad bogaty zabraniał mieć i kurkę, aby mu szkody w ogrodzie nie robiła. Biedny ten chałupnik żył tylko z codziennego zarobku, i dla świętej zgody z bogatym sąsiadem nie trzymał sobie ani kury, aby mu na zagonie nie grzebała, ani krowiny aby mu szkody nie robiła; a z płotu jego nie ruszył mu ani patyczka, choćby miał i nie jeść nic gotowanego. W jego budzinie nie znalazłbyś ani ziarneczka maku cudzego, ani zdziobełka kradzionego, ani nitki niczyjej, coby miał niesprawiedliwym sposobem. To też rzadko jadał on chleb, bo go nie było stać na to, a inna strawa nie była mlekiem pobielona, a nieraz ani solona, gdy nie było za co soli kupić, a na przednowku trza było się karmić trawnikiem lub liściami. W takiej biedzie nie przyszło mu nigdy na myśl, aby co komu ukraść, lub kogo ocyganić; ale wtedy prosił on gorąco Pana Jezusa, aby mu nie dał zaginąć i jakoś biedę bez grzechu przebyć. Poszedł nieraz do dworu do dobrej pani i zawsze sobie coś przyniósł, ale nie szedł on nigdy do sąsiada bogatego, bo tam nie dostał nigdy nic, bo niektórzy chłopi na wsi to są tak jak kamienie, nieużyci do niczego dobrego.

Nie lęgał ci on chłopek ani wstawał bez pacierza, a jak rano wychodził z chałupiny, to się żegnając mówił:

— O Panie Jezusie, dajże mi też szczęśliwie przeżyć ten dzionek boży, i zachowaj mię od grzechu!

I nie zaginął ten biedak nigdy, wszystkie przednowki przebył, a nie jeden bogaty umarł, choć miał gdzie siedzieć i co jeść do syta. Boć tak rządzi wszystkiem Pan Jezus miłosierny. Kto pobożny i ostrożny, choćby był i ostatnim na ziemi, tego Pan Jezus strzeże; a kto Bogu wiernie służy, ten marnie nie zginie; a choćby tam i brakło komu jedzenia, to mu nie braknie ani ziemi, ani wody, ani słonka, ani pomocy boskiej, a byleby miał ducha dobrego w sobie, to on wszystko złe zwy-

cięży, przeżyje i zawojuje. Całą pociechą tego biedaka były dwie dziewczątka Kasia i Marysia, a obie siostry z białą główką, rumiane jak jabłko na drzewie koło św. Michała, a zwinne jak młode baranki, a oprane i czyste jak piórka na gołąbku. Nie znały one matki, bo tę zabrał Pan Jezus, kiedy one były jeszcze drobne jak kurczątka. Zostały więc sierotkami, tylko dobry ojciec wychuchał ich, wykarmił biedą i łzami, wyuczył ich wszystkiego dobrego, co on sam umiał, i czego go wyuczono w kościele bożym. To też obie te dziewczęta miały jakby jedno oczko, jakby jedną rękę, jedną duszę: co jedna powiedziała dobrego, to druga już robiła na wyścigi, jak jedna płakała o co, to druga mówi:

— Nie płacz siostro! Pan Jezus widzi naszą chałupinę biedną z wysokiego nieba, my nie zginiemy — a wtedy ocierała jej rączką łzy z oka, wieszała się drugą rączką na jej szyi i całowała ją serdecznie i mówiła jeszcze:

— Nie płacz, bo jak tatuś przyjdą i zobaczą oczy twoje mokre i czerwone, to się zgryzą, bo oni się i tak gryzą o to, że my takie biedne i najbiedniejsze na całą wieś.

I już było dobrze, bo siostra omyła sobie oczka wodą, a druga otarła ją rękawem od koszulki i poczęły dalej robić, aby miał ojciec co zjeść, gdy powróci do dom z ciężkiego zarobku. I były szczęśliwe w domu! Razem jedna koło drugiej klękały koło stołu i mówiły sobie głośno pacierz rano i wieczór, razem szły sobie do kościoła, miały jednako warkocze splecione, bo jedna drugiej posłużyła, miały jednakie kwiateczki na głowie, jednakie koszule i fartuszki, jednakie szpinki u podszyi, a nie miały obuwia, bo sobie gadały:

— Jak nam Pan Jezus dopomoże, że sobie zarobimy, to sobie kupimy jednakie buciki.

A druga mówi:

— O, pierwej trza pomyśleć o butach naszego biednego ojca, bo on biedaczek już nogi pozbijał do reszty na tych zarobkach.

Zawsze jedna szła na zarobek, a druga była w domu, aby ojcu co jeść zgotować, aby mu łachy podarte ponaprawiać, aby co sobota wyprać wszystkie chusty, by można iść do kościoła w niedzielę, aby ludzie nie mówili:

— Ot jest dwie dziewcząt w domu, a jakie to niedbałe, że ani sobie ani ojcu nie wypierą koszuli!

To też dziwili się nie mało ludziska, że te sierotki mogły tyle robić, czego nie robiła niejedna gospodyni. Bo w ich chałupinie było zamiecione, śmiecie było na gnój wyniesione, szyby w okienku umyte, piec polepiony, ławka i stół co sobota wyszurowane, a ścieżka koło domu była tak czysta, żebyś tam i włoska nie zobaczył na ziemi, a cała chałupina była glinką i rękami tak wymuskana, że między płotami i wierzbami wyglądała jak biały dworek. A nad drzwiami do sieni wisiał Pan Jezus ukrzyżowany, co go sobie kupiła Marysia, gdy była z ojcem na Kalwarji, i kupiła go sobie za te grajcary, co jej ojciec dał na wstążkę, bo ona tak myślała sobie:

— Lepiej mi kupić święte rzeczy niż światowe; wolę mieć krzyżyk z Panem Jezusem, niż malowaną wstążkę — i kupiła ślicznego Pana Jezusa, dała go poświęcić i sama zawiesiła go nad sienią, a ile razy obie siostry wychodziły lub przychodziły, to całowały tego Pana Jezusa i mówiły:

— O Panie Jezusie dopomóż nam też, abyśmy nie zaginęły za życia i po śmierci.

I było im dobrze, bo nie ci mają dobrze, co to mają co jeść i pić i nic nie robią, ale tym dobrze, co Pana Jezusa kochają, pobożnie żyją i za to Bogu dziękują, co on im daje z łaski i miłosierdzia. Oj biedne sierotki! one taiły łzy przed ojcem nieraz, dopóki ojciec wychodził z domu na zarobek; ale jak ojciec zaniemógł i w chałupinie na środku izby zaległ, wtedy musiały płakać nad ojcem, a ojciec nad niemi. Tylko ojciec rozumny mówił im zawsze:

— Nie płaczcie darmo! choć ja pomrę, to wy nie zginiecie, tak jak nie zginęłyście w kołysce po śmierci matki. Pan Jezus kocha najbardziej sierotki! Nie macie wiana ani gruntu, ale macie zdrowie, dobrą naukę, dobry przykład odemnie, macie cnotę i macie w niebie Matkę Najświętszą, i nie zginiecie, jak długo dobremi pozostaniecie.

I stary chałupnik już nie wstał więcej. Biedne siostry zostały teraz jak dwa listki na suchem drzewie, one dwie i biedne

ściany, i ta jedna izbina o jednem okienku, z jednym stołem i jedną ławką.

Trza było trumny dla ojca, a tu nie było z czego zrobić! I mówi Kasia:

— Ot, weźmy stół i tę ławkę i obmyjmy to ślicznie piaskiem, złóżmy to do kupy, zwiążmy troczkami od naszych fartuszków, i będzie trumna dla ojca, bo nam tu nikt nie zechce dać kawałka tarcicy, bo teraz ludzie są bardzo mądrzy i łakomi, i nic darmo nie dadzą.

I wzięły się do roboty te dwie sierotki, ale deski ze stołu były za krótkie i było ojcu nogi po kolana widać, więc cóż tu było płaczu! Ile razy to pocałowały te dobre dzieci zimne nogi ojcu zmarłemu! i cóż tu robić?

Ale Marysia starsza rzecze:

— Do sąsiadów bogaczów nie ma po co iść, bo tam i ojciec po nic nie chodził, ale jest plebanja i dwór.

I leci Marysia do pani do dworu, i pokłoniła się pani i pochwaliła Pana Jezusa, aż się zadziwiła pani, i mówi z płaczem:

— Zrobiłyśmy trumnę ojcu, ale krótka, niech nam też pani w imię Pana Jezusa podaruje kawałek tarcicy!

A pani rzecze:

— Ja pójdę sama zobaczyć! — I poszła z sierotką i aż się rozpłakała, gdy ujrzała co te sierotki porobiły, i dała im tarcicę i kazała zrobić trumnę, a Marysia wymalowała węglem krzyżyk na trumnie, i włożyła w ręce ojca kupionego Pana Jezusa. Ale trza było koszuli dla ojca, bo jakże go grzebać w podartej?

Otóż nie śmiała Marysia iść drugi raz do dworu prosić, bo ona pamiętała co jej ojciec mawiał:

— Co sobie sama możesz zarobić, oto ani proś ani się nie kłaniaj ludziom, tylko proś Pana Jezusa i pracuj, a będziesz miała.

I poszła do bogacza sąsiada kupić płótna. A sąsiad chłop drabisko ostatnie nie zważał na sieroctwo dziewcząt, ale kazał sobie drożej zapłacić i ani się popatrzył na czerwone od płaczu oczka Marysi. A biedne dziewczę nie miało tyle pieniędzy z sobą, więc pobiegło po nie i zostawiło płótno, bo sąsiad zły nie dowierzał biednej sierotce i nie chciał jej ani grosza podarować,

choć dobrze wiedział, że to płótno idzie na śmiertelną koszulę ale nie na jakieś stroje światowe. I uszyły siostry koszulę ojcu nowiutką i ostatni grosz dały na mszą św. za duszę ojca, i po biednym pogrzebie wracały już napół nieżywe do domu, a Kasia płacząc rzeknie:

— Widziałaś Maryś jak tam stoją na grobach krzyże drewniane i malowane, możeby można taki krzyż postawić i ojcu naszemu?

A Marysia mówi:

— Dobrze ty mówisz Kasiu, oto pójdziemy obie do żniwa do dworu przez tydzień, za zarobek kupimy dąbka i damy zrobić krzyż i postawimy ojcu. I jak sobie powiedziały tak zrobiły, i stanął krzyż na grobie ojca, a za miesiąc odbyło się nabożeństwo w kościele za duszę ojca i matki, bo córki kochały ojca i matkę nawet po śmierci. Co niedziela szły obie siostry na cmętarz aby się modlić nad grobem rodziców, nawet posadziły młode drzewka na grobie: Marysia posadziła cztery małe sosninki na grobie ojca, a Kasia białe jaśminy na grobie matki — codzień w pacierzu wymieniały dusze ojca i matki, a trzymały naumyślnie kożuch po ojcu i pas jego jako pamiątkę w chałupinie, i ile razy popatrzały na to, to płakały. A gdy kto chciał kupić ten kożuch od nich, to mówiły:

— To pamiątka naszego ojca, tego nie sprzedamy, bo to grzech za to, kiedy dzieci poniewierają rzeczy i pamiątki rodzicielskie. Wolałybyśmy to dać jakiej sierocie, niż brać za to pieniądze.

I zostały w chałupinie dwie siostrzyczki same, same bez ojca, bez matki, bez brata, bez opiekuna, bo gdzie tam bogacze chcą się opiekować sierotami? Gdyby sieroty były bogate, toby każdy chciał mieć opiekę, byliby wtedy i krewni, i bracia i sąsiedzi. Ale dla sieroty nie ma ręki ani ochoty! Po śmierci ojca zaraz zaczął ujadać sąsiad bogacz, na którego gruncie stała chałupina sierot. Biedne sieroty poszły do niego i taką zrobiły ugodę:

— Będziemy wam robić w polu za to, abyście nam chałupiny nie wyrzucali.

I był kontent strasznie łakomy chłop, że mu przybyło

cztery sieroce ręce do roboty i to za darmo. Zapomniał on, że kto wyciska sierotkom łezki, tego ukarze ojciec niebieski! A te dobre siostry odrabiały mu sumiennie: jedna szła do niego, a druga do dworu na zarobek, bo dwór i płacił, ale i nieraz dał kawałek chleba i przytułek jako przyczynek miłosierny. Gdy Kasia chorowała, to Marysia szła na zarobek, ale trzy razy na dzień przybiegała do chałupiny. Przynosiła ona Kasi chorej to mleko w garnuszku, to barszczyk w dzbanuszku, to rosołek ze dworu, to lekarstwo od pani; a w nocy znowu sprzątała w chałupinie, prześcielała słomę pod Kasią, prała dla Kasi, to koszulę, to łachy z pod chorej, a gdy nie mogła często przybiegać do niej z pola, to najęła dziewczę z drugiej chałupy, aby pilnowała Kasi chorej. I musiała za to zapłacić, bo dziś nie chcą ludzie ani za darmo łyżki wody choremu podać, ani garści słomy podarować na posłanie. Dziś każdy patrzy na pieniądze, ale nie na Pana Jezusa i jego przykazy, dziś każdy dba więcej o chleb niż o zbawienie duszy. Ale umarła Kasia biedna i Pan Jezus skrócił jej cierpienie i ulżył Marysi, bo ta musiała na chorą Kasię i na siebie zarobić, i odrobić za plac bogatemu sąsiadowi. Biedna Marysia nie szła cały tydzień na zarobek, ale przesiedziała trzy dni przy umarłej Kasi, a trzy dni płakała i nie wiedziała co robić. Ani tarcicy nie było na trumnę, ani płótna na koszulę śmiertelną, ani pieniędzy na pogrzeb: a tu serce siostry chciało zrobić jak się patrzy. Otóż wyjęła drzwi z izbiny i złożyła trumnę, jak mogła, tak powiązała do kupy, bo dziś nikt nie zrobi trumny bez napitku i zapłaty, a Marysia była biedną. A potem otworzyła swoją skrzynkę, gdzie miała chusty, wybrała najlepszą koszulę, obmyła ciało Kasi, uczesała jej białe włosy, splotła ostatni raz warkocz panieński i oblekła ją w tę koszulę, i powoli włożyła do trumny. Potem wybiegła na łąkę, nazbierała różnych kwiatków, uwiła wianuszek, ucięła sobie włosów i temi włosami związała ten wianuszek i położyła go na trumnie, a zdjęła szkaplerzyk z piersi swej i włożyła na szyję Kasi, a z Kasi włożyła na siebie i powiedziała sobie:

— Przynajmniej tę pamiątkę będę miała po tobie, a ty po

mnie! Ty się módl za mną i kochaj mię na tamtym świecie, jak ja się będę modlić za tobą na tym świecie. Tyś przestała cierpieć, płakać i biedować, a ja teraz nieszczęśliwa sama jedna, tylko Pan Jezus nademną.

I pogrzebała siostrę, postawiła jej krzyż tak samo jak ojcu, i musiała pójść z chałupiny, bo ją niedobry sąsiad wygnał. A gdzież teraz ona? Oto może stoi z tym chłopem na sądzie bożym i odbiera nagrodę za dobre sieroce życie, a chłop karę za uciemiężanie sierot.

Ks. Wojciech z Medyki.

Pogadanka w Wąwrowicach.

O szkłach powiększających.

Nad wieczorem samym siedziało kilku gospodarzy na pogródce przed domem, odpoczywając po pracy całodziennej. Miesiączek wychodził piękny z za góry i oświecał szarzejące pola, a gospodarze rozmawiali o robocie polnej, o pomyślnych urodzajach, dziękując w duszy Panu Najwyższemu, że pozwolił tak pięknie zebrać tegoroczne garście.

— Cóż Piotrze myślicie o rzepie? — rzekł Bartłomiej — Przydałoby się przy gospodarstwie kilka korcy jarzyny, boć to i pożyteczna a dla chudoby pożywna i konieczna, jak nam to raz Antoni czytali. Wnet pełnia toćby dobrze było teraz zorać pod rzepę, bo w pełni zasiana to się może i pełnie porodzi; a może też ta Pan Jezus da i deszcza, boć go i dawno nie było.

Na wspomnienie o pełni, podnieśli gospodarze oczy i patrzeli na księżyc w całej pełni jaśniejący. Zapomnieli o rzepie, bo uderzyła ich naraz wszystkich wspaniała postać księżyca. Wpatrywali się chwilę, a Piotr, jeden z gospodarzy, rzeknie:

— Że też to ludzie wymyślają a wymyślają różne niestworzone rzeczy, a nikt nie wynalazł coś takiego, coby się na miesiączek albo i na słoneczko dostać, a popatrzeć, co też tam tak pięknie jaśnieje.

— Ho, ho, ho! mój kumotrze, zachciewa wam się nielada jakich rzeczy, o tem toć już i najmędrsi ludzie nie myślą; bo co tego, to nikomu z nas żyjących nie dozwoli Pan Jezus, żeby aż tam na miejscu badał skrytości Pańskie — rzekł Antoni czytelnik, szkolnik a bywalec, stary wojak a szanowany we wsi całej, bo Bóg wie ile pięknych rzeczy nie raz powiadał ludziom we wsi na ich podziwienie a wzbudzenie pokory przed tym Panem, co nas i świat cały z niczego wyprowadził.

— A byli tacy — prawił Antoni — co zarozumiali w siłę swoją wyprawę na księżyc przedsiębrali, i na balonach w górę zapuszczać się pragnęli. Aleć przypłacili srogo swoją dumę; zaledwo się wznieśli nie bardzo daleko nad ziemię, a jużci pac! i karki pokręcili. Przy ziemi tylko Pan Bóg ludziom żyć pozwolił, więc tu tylko tak urządził, żeby bez przeszkody żyć mogli; nad ziemią zaś, jak to już nawet ludzie i na wysokich górach doświadczają, takie jest rzadkie powietrze, że niem ani oddychać ani w niem żyć niepodobna. Nawet zwierzęta żyć tam nie mogą; pies w niewielkiej wysokości szczekać przestał, ta i człowiek gdy do drugiego mówi, to nie słychać zupełnie, chyba, żeby się już wrzeszczało z całego gardła; wreszcie zaś krew lunęła z ust i nosa tym ludziom, co się na góry wysokie zaciekali, że ani rusz do dalszej drogi. Takie to jest nasze powietrze, w którem żyjemy; bez niego nad ziemią zginąćby trzeba; jakże się tu więc wznieść aż do księżyca? Nie dostaniecie się i wy mój Piotrze na miesiączek, a mielibyście widzę ochotę zaglądnąć, co się tam dzieje. Ale widzicie: tak zwykle, gdzie być nie można samemu, to choć zdaleka można co zobaczyć. To też wynaleźli znowu ludzie takie *szkła powiększające*, przez które małe rzeczy wielkiemi się wydają, a tak i mały miesiączek może być strasznym widziany.

— Aha — wtrącił Wawrzeniec — to takie szkła mają inżynierowie, ci wiecie, co to pola mierzą a mierzą, a coś nie bardzo dobrze im się tam pomierzyło!

— Takie same — odrzekł stary Antoni — ale są jeszcze i lepsze, bo są te szkła różne. Najzwyklejsze to już okulary, *perspektywy*, przez które daleko widzieć można, bo choć co zdaleka małe się wydaje tak, że i dojrzeć trudno, to przez ta-

kie szkło zobaczysz wszystko wielkie, tuż przy sobie. Aleć najbardziej powiększające szkła to się nazywają *mikroskopy*. Popatrzysz na ten przykład na pchłę przez szkło takie, to ją zobaczysz jak woła, albo jeszcze i większą, a jakie ona ma ryjki, pyszczki, któremi nas gryzie, tobyś człowieku zgłupiał z dziwienia i nie uwierzyłbyś jak żyw, że to pchła być może; ale, że to albo jaki słoń z trąbami, albo smok z ogromnemi łapami! A jakie ma na sobie smugi, fałdy, jakby ją kto powrozami pokrępował!

Ileż to pięknych i ciekawych rzeczy nie naodkrywali ludzie przez te szkła powiększające, ileż się nie podowiadywali, to aż strach! Ot powiem wam naprzykład jedno, z babskiej gospodarki.

Jużci u nas każda gosposia nasadza kury na jaja, ale żadna może nie miała ciekawości zaglądnąć czasem, jak się to tam to kurczątko w jajku rozrasta; boby może wreszcie niejednej żal było rozbić jajko, z którego się kurki spodziewa. Ale ludzie ciekawi, jak ci zaczęli natłukać jajka a patrzeć, a szperać; nie żałowali i trudu i wydatku dosyć obrócić na to, aby przecie jako dowiedzieć się, jak to Pan Jezus to kurczątko do życia przyprowadza. Choć trudno i tu wszystkiego dociec, bo niepodobna pojąć człowiekowi nędznemu, co Bogu tylko wiadomo.

Jak roztłuczesz świeże i dobre jajko co jeszcze kura na niem nie siedziała; to gołem okiem nic tam nie zobaczysz, prócz białka i żołtka i czegoś ciągnącego się, w czem naturalnie zarodek na kurczątko być musi, bo białko i żółtko na wyrobienie się tylko i rośnięcie a żywność dla kurczęcia służą, tak nieprzymierzając jak w jabłku marna pestka a w ziemniaku znowu jedno oczko jest zarodkiem, reszta zaś to mięso jeno do rośnięcia tego zarodka pomocne. Dla kurczęcia już w jajku się znajduje pokarm, boć ono żyć musi, kiedy się rozrasta Jak się wylęgnie, dajemy mu ugotowane pokrajane żółtko, to jest to, czem ono i w jajku żyło; zaś pożywienie inne dopiero wtedy, gdy zesilnieje. Toć i bydle, gdy się ulęgnie, ssie matkę i żyje długo tem samem pożywieniem, jak w matce żyło, póki innego cięższego pożywienia przyjąć nie będzie mogło.

Chcę mówić o tym zarodku w jajku, o tem ciągnącem się. Jeżli na to tak gołem okiem popatrzymy, toć nic szczególnego

nie widać. Jednak tam życie już musiał włożyć pan Jezus, bo zkądżeby się wzięło później, kiedy kura na jajku siedzi. Włożże drzewa kawałek pod kurę, to żeby ci na tem i rok biedna kurzyna siedziała, nic nie wysiedzi, bo w drzewie zarodku na kurczę nie ma. Kiedy zaś kurczę ma żyć, to już i w zarodku coś żyjącego być musi.

I tak też jest rzeczywiście.

Kiedy na ten zarodek przez szkło, ale przez bardzo powiększajace szkło popatrzymy, to widać, jak tam jakieś stworzeńko jużci do kurczęcia nawet jeszcze nie podobne, ale żyje, bo się rusza, przewala i broi jak wszystko, co gdy malutkie a młodziutkie, to mu się i figlów zachciewa. Otoż tak jest w jajku świeżem, z którego pod kurą w cieple, za 21 dni kurczątko ma się wykłuć; przez ten bowiem czas to młode stworzenko na kurczę wyrasta. Niezmierzona mądrość Boża, co to wszystko tak urządziła! Dość że w sześć godzin, jak kura siedzi na jajku, zarodek już się zmienia zupełnie, ale tak, że przez szkło takie powiększające już główkę przyszłego kurczątka dobrze rozpoznać można, w 6 godzin mówię! Po dwóch dniach siedzenia kury już serce kurczątka bije, i tak dalej powstaje kurczę, co już i okiem zobaczyć można, aż się wreszcie maleństwo wykłuje ze skorupki.

Opowiadali jeszcze więcej stary Antoni o różnych dziwach, co przez szkła zobaczono, ale to wam aż za drugą razą powtorzę, bo tu już nie ma miejsca.

RÓŻNOŚCI.

Pożary. Kilka było pożarow, przeszłego miesiąca. Oto dnia 20. października zajęło się w stodole u wójta Dmytra w *Hawryłówce*, w stanisławowskiem, i nie małe ztąd wypadło nieszczęście, bo zgorzało sześć zagród razem ze zbiorami tegorocznemi, a co jeszcze większe nieszczęście, to oto ten wypadek, że zginął w płomieniach mały chłopak wójta Wasyl, i dwoje sierot po jego bracie nieboszczyku: Iwanko i Fedor. Nieszczęście chciało że wszyscy trzej spali właśnie w stodole, i trudno im się niebożątkom było wydobyć z tamtąd. Nie wiadomo jeszcze od czego się to tam zajęło.

Wielki też pożar był w *Babińcach*, w czortkowskiem, we dwa dni po owem w Hawryłówce, na godzinę przed północą. Ogień wyszedł z cerkwi, a spaliwszy ją do szczętu, rzucił się na chałupy, i pogorzało aż siedm obejść gospodarskich ze wszystkiemi zbiorami. Między pogorzelcami jest także *Fedor Andrejczuk*, gospodarz, obrany na posła do sejmu, a będący teraz we Wiedniu. Przyczyną tego pożaru ma być nieostrożność kościelnego, co źle świece w cerkwi pogasił.

Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.